Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 13

Powieść egzotyczna w Polsce Odrodzonej

W epoce wielkich a doniosłych przemian i przewrotów, które w latach 1914—1920 wstrząsnęły światem całym i nie do poznania zmieniły jego oblicze, Polsce zaś po 123 latach niewoli przyniosły upragnioną i przez pokolenia z tęsknotą wyczekiwaną niepodległość, — wielu ludzi, którzy w normalnych warunkach nigdyby może w życiu nie opuścili swego rodzinnego miasta, w ostatecznym razie — swojego kraju, — naskutek tych przemian i przewrotów znalazło się w najrozmaitszych punktach świata, na najodleglejszych jego krańcach.

Wśród ludzi tych wielu było pisarzy, którzy po powrocie do kraju i po uśmierzeniu się fal i burzy dziejowej, wędrówki swe po świecie szerokim i wrażenia swe z tych wędrówek uwieczniali i uwieczniają w swych dziełach, mających bądź charakter pamiętnikarski i opisowo-podróżniczy (**Goetel:** Przez płonący wschód, Egipt, Podróż do Indyj, **Giżycki** Przez Urjanchaj i Mongolję, **Kossak-Szczucka** Pątniczym szlakiem, **Symonolewicz** Miraże mandżurskie), bądź poetycki (**Baliński Słonimski, Wierzyński**), bądź też — i to w stopniu najsilniejszym — charakter beletrystyczny, decydujący o dosyć bujnym rozwoju powieści egzotycznej w Polsce Odrodzonej.

Nie stworzyliśmy wprawdzie w latach powojennych beletrystyki egzotycznej tej miary, co egzotyczna powieść angielska (Conrad, Kipling) czy francuska (Farrère, Benoit) — tem niemniej literatura piękna Polski Odrodzonej poszczycić się może całym szeregiem mniej lub więcej wybitnych utworów z zakresu powieściopisarstwa egzotycznego i chlubić się ma prawo wcale pokaźną ilością nazwisk tych autorów polskich, którzy przemierzywszy świat wzdłuż i wszerz (czasami — choć, trzeba przyznać, dość rzadko naogół, przemierzali go tylko w swej własnej wyobraźni lub na kartach encyklopedji czy podręcznika geografji) — o tem, co widzieli, co przeżyli i co przemyśleli — opowiadają na kartach swych książek, z których niejedna stanowi bardzo znaczną pozycję w literaturze dzisiejszej, pozycję nietylko bibljograficzną, ale i artystyczną.

Największym bezsprzecznie artystą pomiędzy polskimi powieściopisarzami egzotycznymi jest Ferdynand Goetel, autor „Pątnika Karapety", „Ludzkości" i „Schmerzenreicha" „Karchata" „Z dnia na dzień" i „Serca lodów". Syberja i Turkiestan, oglądane oczyma jeńca — Polaka., oczyma, przed któremi rozpościera się nowy, nieznany, oryginalny świat, i które zarazem stają się świadkiem bratobójczej wojny między autochtonami tych krajów w czasie rewolucji rosyjskiej i walk między „białymi" i „czerwonymi" i nietylko te bezbrzeżne, bezkresne stepy południowo - wschodnich ziem rosyjskich, ale lodowce i gejzery Islandji — oto egzotyczny, nieznany, dziwny, czarujący świat, który w wysoce artystyczny kształt opowiadania i opisu wysokiej klasy zaklina Goetel, budząc podziw czytelników i uznanie krytyki. A co jeszcze ważniejsze — nietylko przyrodę egzotyczną, zwyczaje i życie tych dalekich, nieznanych światów odtwarza z maestrją Goetel, — dokonywa on rzeczy jeszcze bardziej wartościowej, tem cenniejszej, że rzadko osiąganej przez innych autorów polskich: umie spojrzeć należycie i przenikliwie w głąb duszy Tatara, Sarta czy Islandczyka w duszę tę wczuć się i ją zrozumieć, odtworzyć ją pięknie — przy pomocy całej maestrji swego artyzmu — ale też i prawdziwie. Ten największy artysta z pośród polskich beletrystów egzotycznych jest zarazem najwierniejszym w swych relacjach, jest najbardziej prawdomównym i w stopniu najwyższym — godnym zaufania świadkiem naocznym.

Tego co się powiedziało o Goetlu, w żadnym wypadku nie można powiedzieć o tak głośnym i modnym czas jakiś autorze licznych powieści o charakterze sacyjno-egzotycznym: o Antonim Marczyńskim. Żaden to artysta, a i poczucie odpowiedzialności pisarskiej ma w nie skończenie niższym stopniu rozwinięte, niż u Goetla. Beletrystykę egzotyczną fabrykował masowo, — egzotyzm to jednak czysto krajowego wyrobu: Goetel opowiada o tem tylko, co sam widział; pisze o tem, gdzie był; Marczyński zaś nigdy nie widział tego, o czem opowiada i nie był nigdy w krajach, o których pisze. Wszystkie te „Alohy", „Budzące się bestje", „Płaczenie antylopy" itd. itd. — to owoce bujnej fantazji jedynie i gruntownych studjów.. encyklopedycznych. Zdarzają się więc też Marczyńskiemu raz poraz niemiłe gaffy, popełnia niewybaczalne błędy czy to w zakresie psychologji ludów egzotycznych, o których pisze, czy to w odmalowywaniu terenu i tła. W stopniu najsilniejszym błędy te uderzają i rażą w „Perle Szanghaju".

Cechują za to Marczyńskiego bujna wyobraźnia twórcza, pierwszorzędny talent narracyjny, silny nerw sensacyjny, umiejętność stosowania dynamiki, duże zdolności kompozycyjne. Powieści jego to lektura zawsze zajmująca, emocjonująca czytelnika, pochłaniająca go, a chwilami porywająca. Wielką zaletę pożytności powieści egzotycznych Marczyńskiego stanowi niewątpliwie to, że pociągając do siebie czytelnika swą fabułą, pociągają go zarazem siłą inercji i tłem i tematem, przez co budzą w nim zainteresowanie do literatury egzotycznej wogóle, a więc i do beletrystyki egzotycznej poważniejszej (utwory Goetla).

Duże zasługi na polu polskiej powojennej powieści egzotycznej położył niesłusznie dziś zapomniany i w cień usunięty Jerzy Bandrowski, autor całego szeregu zajmujących, pod względem odtwarzania tła — niczwykle skrupulatnych, pod względem zaś artystycznym — najzupełniej poprawnych, a chwilami znakomitych niemal — powieści egzotycznych, przeważnie na tematy wschodnie, najczęściej daleko-wschodnie. Na czoło twórczości Jerzego Bandrowskiego wybija się „Krwawa chmura", arcydzieło niemal analizy psychologicznej, dokonanej przez pisarza — Polaka na objekcie, tak trudnym i tak obcym i dalekim, jak dusza Chińczyka.

W pewnym sensie autorem — powieściopisarzem egzotycznym jest Edward Ligocki, na uwagę też zasługują utwory beletrystyczne Jerzego Bohdana Rychlińskiego, w szczególności cztery opowiadania, stanowiące cykl „Mah-Jong". Motywy egzotyczne, fabularne czy psychologiczne — przewijają się raz poraz i poprzez beletrystykę czysto sensacyjną lub fantastyczną — tę ostatnią wtedy gdy porusza problem „żółtego niebezpieczeństwa" (Barszczewski **Czandu**, Karczewski **Bakcyl**, Błażejowski **Tajemnica dr. Hiwi** itd.)

Nestor polskiej powieści egzotycznej, autor „Ol Soni Kisań", „Beniowskiego" „Oceanu" „Miłości samuraja" i innych większych czy mniejszych utworów z zakresu beletrystyki egzotycznej — Wacław Sieroszewski zmienił w czasach powojennych swe zainteresowania: z zakresu nas w danej chwili interesującego, stworzył jedno tylko dzieło i to znacznie ustępujące jego utworom przedwojennym — powieść „Dalaj-Lama". W powieści tej występuje głośny w czasach rosyjskiej wojny domowej wódz armji antybolszewickiej w Mongolji — baron Ungern-Sternberg. Trzeba zaznaczyć, że postać barona Ungera cieszy się dużą popularnością w polskiej powieści egzotycznej: oprócz Sieroszewskiego, znajdziemy ją u Giżyckiego, a przedewszystkiem u najgłośniejszego beletrysty egzotycznego, znacznie więcej cenionego i popularnego zagranicą niż w Polsce — Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego.

Ossendowski zdobył sobie światowy rozgłos książką „Przez kraj zwierząt, ludzi i bogów" (w której to książce występuje właśnie baron Ungern, tak sama jak w dramacie „Żywy Budda").

Odtąd każda nowa książka Ossendowskiego, czy to o akcji, rozgrywającej się w górach Atlasu, czy w Senegalu, — czy to opowiadająca o Palestynie, o Ameryce Południowej czy o żywocie Lenina — staje się wielkiem wydarzeniem literackiem w całej niemal Europie, która tego autora barwnych, porywających powieści i opowieści podróżniczych — autora — Polaka wynosi na szczyty powieściopisarstwa egzotycznego w świecie całym.

(p. t.)

Pamiętnik marynarza z XVII wieku

Książka, o której mówię, jest rodzajem osobliwości. Pisał ją półtrzecia wieku temu pozbawiony wykształcenia marynarz. Pisał naprzód w niewoli holenderskiej w Bawarji, mając lat około trzydziestu, a później prowadził dalej jako dziennik zamiast odpoczywać po ciężkiej służbie. Ortografję miał zupełnie swoistą, szczególnie co do imion własnych. Ochrzczony nazwiskiem jenerała Monka okręt nazywa się u niego Mounk. Opisywał naiwnie swe trudy, niebezpieczeństwa i cierpienia, narzekając na ciężkie życie marynarza — a przecie kochał okręty i morze. Nabożnie przypisywał powodzenia opiece Bożej, a kięski grzechom ludzkim. Nieznane ludy obserwował z wrodzonym zdrowym rozsądkiem. Zajmowały go egzotyczne rośliny i zwierzęta. Rzeczy, które go najbardziej zajmowały, odtwarzał rysunkiem lub farbami. I tak systematycznie prowadził swe zapiski przez lat czterdzieści cztery.

Owoc tej wytrwałej pracy przeleżał się do naszego wieku, aż dostał się w ręce hrabiego Harwicke, od tegoząś nabył go obecny wydawca Basil Lubbock. Książka będzie trudno dostępna, gdyż wyszło tylko 100 egzemplarzy, a dwa pokaźne tomy kosztują 4 gwineje (120 zł!).

John Barlow pochodził z okolic Manchestru i był synem wieśniaka, którego dochód roczny wynosił 8—9 funtów sterlingów. Nauczył się jako chłopak czytać, a mając lat 15, powędrował z dwoma szylingami w kieszeni do Londynu, ażeby posługiwać w gospodzie, należącej do stryja. Już wtedy marzył o morzu i o poznaniu szerokiego świata. Marzenia spełniły się nagle, a niespodziewanie. Marynarkę wojenną Angiji kompletowano wówczas przez przymusowe wcielanie do niej ludzi, zwabionych przemocą lub porwanych gwałtem na pokład. Ten drugi los spotkał Johna, który napół pod przymusem, napół dobrowolnie musiał podpisać akt wstąpienia do marynarki Rzeczypospolitej angielskiej.

Było oto bowiem w r. 1659, jeszcze za Rzeczypospolitej i statek nazywał się Naseby — od rozstrzygającego zwycięstwa armji parlamentarnej nad wojskami Karola I. Już jednak w roku następnym dzięki patronowi innego okrętu, na którym Johnowi sądzone było służyć, jen. Monkowi, nastąpiła restauracja Stuartów i „Naseby" przechrzczono lojalnie na „Królewskiego Karola" — i wysłano po zaproszonego do powrotu na tron królewski Karola drugiego tego imienia.

Ciężkie było w owych czasach życie żeglarza. Oto obrazek, dający o niem wyobrażenie, a równocześnie próbkę naiwnego stylu Johna Barlow, opisującego tu cierpienia, jakie przeszedł wraz z towarzyszami w r. 1661 w pobliżu wybrzeży portugalskich:

Miotani przeciwnemi wiatrami i mając mało wody, a przez cały czas źle zaopatrzeni w żywność, musieliśmy teraz zadawalać się jedną kwartą napoju na głowę dziennie. Napój ten robiło się z kwaśnego wina i śmierdzącej wody, co nam się bardzo dawało we znaki. Ponieważ zaś było gorąco, a stale musiałem jeść solone mieso, nie mogłem nigdy nie napełnić brzucha do sytości, przez co nieraz żałowałem, żem poszedł na morze, wspominając, jakie rozkosze mają w Angiji ludzie, których brzuchy pełne są dobrej strawy i napoju, chociażby nie wiem jak ciężko na to pracowali. I wciąż myślałem, że żebracy lepsze mają życie i lepiej żyją odemnie, bo rzadko im się zdarza, aby nie napchali żołądków lepszą strawą, niż my możemy dostać; a także nocą leżą sobie spokojnie i bezpiecznie po porządnych szopach, pełnych

słomy, a nikt im nie przeszkadza i mogą sobie leżeć, jak długo im się spodoba.

Przyszło Boże Narodzenie.

Nie mieliśmy nic prócz małego kawałka irlandzkiej wołowiny na czterech ludzi, mięsa, które zamarynowano przed dwoma lub trzema laty i które przeszło rdzą, z jak djabli, z odrobiną śmierdzącej oliwy lub masła, które miało wszystkie kolory tęczy — dużo ludzi w Anglji smaruje koła swych wozów czemś lepszem

Tu John Barlow powtarza sobie stare przysłowie angielskie:

Kto posyła swe dziecko na morze, aby tam zarabiało na życie, zrobiłby o wiele lepiej, gdyby oddał je do terminu do kata

Lecz prócz głodu, pragnienia, trudu ponad siły, braku snu czyhały jeszcze na każdym kroku niebezpieczeństwa. Wojowano na morzu z Holendrami, Hiszpanami i Francuzami. Najniebezpieczniejszymi przeciwnikami byli Holendrzy którzy wydali w omym czasie wielkich admirałów Van Trompa i de Ruytera. Wojna z nimi obfitowała w tragiczne momenty dla Anglji. De Ruyter spalił trzy okręty wojenne w Chatham, Van Tromp przytwierdził do rufy swego okrętu miotłę — na znak, że oczyścił Kanał La Manche z Anglików. Źle zaopatrzone okręty, niewyćwiczone załogi, kapitanowie i admirałowie, zapożyczeni od armji lądowej (jeden z nich komenderował „Na lewo zachodź!") — wszystko to powiększało grozę położenia, lecz odwaga, wytrzymałość i wrodzona miłość morza ratowały Anglików. John Barlow uczestniczył w dwóch wielkich bitwach morskich, jakiś czas spędził w niewoli — wogóle wychodził cało z niebezpieczeństw i powoli piął się wgórę w hierarchji marynarskiej. Miał umrzeć jako oficer statku wojennego, który zastępczo fungował jako kapitan.

Sługiwał później i na statkach handlowych, ale w owej burzliwej epoce każdy z nich był zaopatrzony w działa, inaczej byłby łatwym łupem dla korsarzy. Zresztą zdarzało się, że jeden okręt angielski kradł drugiemu marynarzy, porywając ich przemocą, gdy udało się zaskoczyć jakąś grupkę na lądzie, a biedakom przepadały przy tej sposobności ich rzeczy, oszczędności i żołd — zawsze płacony z wielkiem opóźnieniem.

Przeżycia Johna Barlow stanowią prawdziwą epopeję. Walczył on z korsarzami i wyzwalał z ich niewoli angielskich majtków. Pięć czy sześć razy żeglował do Indyj (naokoło Afryki), a podróż w owym czasie trwała pół roku. Trzy czy cztery razy odwiedził Chiny, znał Indje Zachodnie, jak własną kieszeń. Ożenił się i tęsknił do żony i dzieci, ale był w domu nieobecny raz przez dwadzieścia, raz przez jedenaście lat.

Gdzie nie był czego nie widział! A wszystko pilnie notował. Mówi o niewolnikach w Barbados, że „żyją wśród takich trudów i męczarni, iż gotowi są na wszelki hazard, byle uciec, choć w razie złapania tracą ich przez spalenie żywcem, przez ucięcie głowy, przez posiekanie na kawałki, aby dać innym murzynom odstraszający przykład".

O Hotentotach znów mówi Barlow:

Jest to najbardziej pogański naród, jaki widziałem. Nie znają dobra, nie oddają czci ani Bogu, ani djabłu, chodzą po świecie raczej jako dzikie zwierzęta, niż jako ludzie i jadają wszelkie surowe mięso i wnętrzności zwierzęce, które się wyrzuca.

O pobożności Johna świadczą uwagi, jakie poczynił po klęsce, poniesionej w wyprawie na brzegi francuskie w r. 1691:

Przedsięwzięciu naszemu stanął na przeszkodzie brak łaski Bożej, bo nasz cały naród oddany jest takiej pysze, zbytkowi, rozpuście, klątwom i pijaństwu. Gdy zaczniemy poprawiać się, możemy mieć nadzieję, że Pan Bóg będzie z naszemi wojskami i flotami.

Kończy też Barlow swe zapiski, dziękując Bogu

za Jego dobroć, że mnie ochronił we wszystkich podróżach pośród tylu wielkich niebezpieczeństw w ciągu tylu lat rzemiosła marynarskiego.

Na zakończenie parę słów o „ilustracjach", któremi Barlow ozdobił swój dziennik. Zgórą 120 było kolorowych, ponad 50 niekolorowanych. Małą część tylko zreprodukowano w wydaniu Lubbocka. Widoki wybrzeży zasługują na uwagę jedynie jako curiosa, gdyż dzielny żeglarz nigdy nic nie słyszał o perspektywie, a i sam jej nie wynalazł. Natomiast obrazy okrętów są wcale dobre i dokładne, a rysunkowi nosorożca niewiele można zarzucić. Jednem słowem, poznajemy tu, jak w całym pamiętniku, Johna Barlow jako człowieka o dużych wrodzonych zdolnościach, nie popartych wykształceniem.

Jego zapiski nietylko mają wartość historyczną, ale też oświetlają angielski charakter narodowy i w znacznej mierze wyjaśniają, skąd wzięła się morska potęga Anglji.

A. E.

Republika w minjaturze

Ktokolwiek zwiedza Włochy środkowe, nie pominie z pewnością sposobności, by nie zrobić wycieczki z Rimini do San Marino, tej minjaturowej republiki, stanowiącej tak jaskrawy i niezwykły przykład anachronizmu historycznego i politycznego w dzisiejszych czasach.

Republika, licząca niespełna 15 tysięcy mieszkańców, a obejmująca powierzchnię 61 kilometrów kwadratowych!... Republika, najściślej związana z życiem kulturalnem i politycznem Włoch, — zachowująca jednak pełną samodzielność, rządząca się własnem prawem, posiadająca własny rząd i własną gwardję!

Nic dziwnego zatem, że każdy turysta uważa sobie za obowiązek poświęcić choć jeden dzień na zwiedzenie tego



San Marino: Malowniczy widok zamku na szczycie góry.

„państwa", — zwłaszcza, że może to załatwić bez jakichkolwiek formalności paszportowych czy celnych. A wycieczka to naprawdę ładna i interesująca, — przytem mieszkańcy San Marino — przeważnie wieśniacy żyjący z uprawy wina, — witają bardzo gościnnie obcych, czerpiąc z tego ruchu turystycznego ładne zyski.

* * *

Wedle legendy, powstanie San Marino sięga czasów Djklecjana. Wówczas to, chroniąc się przed prześladowaniem dwaj świątobliwi rzemieślnicy, San Marino i San Leo, schronili się w te niedostępne, pokryte gęstemi lasami, góry. Już w roku 885 powstaje tam klasztor na górze zwanej „Rocca del Titano". — dokoła którego grupują się wioski i osiedla.

Maleńki ten organizm zachowuje od samego powstania autonomję, — a papież Urban VIII uznaje formalnie w roku 1631 jego niezawisłość. I tak przetrwała republika wszystkie wielkie wstrząsy i walki, jakie szalały w ciągu wieków na apenińskim półwyspie, — stając się niejako asylem dla śmiałych a wielkich bojowników o wolność. Tutaj to schronił się w r. 1849 Garibaldi ze swą chorą żoną i niedobitkami swych żołnierzy przed nacierającemi na niego przemożnemi siłami Austrjaków.

A mieszkańcy San Marino, miłujący fanatycznie wolność i niepodległość, nie myśleli nigdy o podbojach, o rozszerzeniu granic swego państewka. I owszem — odrzucili bez wahania propozycję Napoleona, który chciał im przyznać w tym kierunku duże koncesje terytorjalne.

I tak oto przetrwała do dziśdnia ta jedyna w swoim rodzaju republika, z jedynem miastem-stolicą, zachowując z całym pietyzmem wiekowe tradycje, obyczaje i ustrój państwowy.

* * *

Najwyższą władzę reprezentują w San Marino dwaj „Regenci", wybierani co pó roku, dnia 1 kwietnia i 1 październik. Wyboru dokonuje uroczyście tzw. „Wielka Rada", w skład której wchodzi po dwudziestu przedstawicieli stanu szlacheckiego, mieszczaństwa i rolnictwa. „Wielka Rada", to rodzaj parlamentu; emanacją tegoż jest tzw. „Mała Rada", złożona z dwunastu członków.

Oczywiście posiada republika i swoją własną „gwardję", umundurowaną na wzór włoski, a czuwającą nad bezpieczeństwem publicznem. Służba w niej nie jest ciężka ani wyczerpująca, mieszkańcy bowiem, ludzie spokojni, weseli a pracowici, rzadko dają sposobność do „interwencji".

Położone na szczycie dość wysokiej góry (743 m.), przedstawia San Marino widok niesłychanie malowniczy ze swemi spadzistemi uliczkami, tonącemi w powodzi kwiecia, wyzłoconemi promieniami południowego słońca.

Z dawnych zabytków najciekawszym jest kościół i klasztor Franciszkanów, budowla z XIV wieku.

Katedra („pieve") zbudowana w początkach XIX wieku zawiera grobowiec św. Marcina, którego święto obchodzone jest uroczyście dnia 3 września.

Pałac rządu, zbudowany w roku 1894, jest pięknym gmachem w stylu gotyckim. Wreszcie jedną z osobliwości jest tzw. „Rocca" (738 m. wysokości) ze swemi starożytnemi basztami i wieżami, skąd roztacza się przepiękny, rozległy widok aż po lazurowe brzegi Adrjatyku, — od Aukony do Rawenny.

Naogół nie znajdzie się w San Marino cenniejszych zabytków architektury, malarstwa, czy rzeźby, tak szczodrze rozrzuconych po innych miastach włoskich. I z pewnością nie ściągałoby San Marino takiej rzeszy turystów, — gdyby było zwyczajnem sobie miasteczkiem włoskiem, podobnem do dziesiątek i setek innych. I w tem, zdaje się, tkwi cała tajemnica jego „niezawisłości", którą inaczej trudno byłoby zrozumieć i wytłumaczyć w dzisiejszem ustroju faszystowskich Włoch: owa niezawisłość jest właśnie tym magnesem, ściągającym turystów z całego świata, pragnących na własne oczy obejrzeć minjaturową republikę.

(kr.)



San Marino: Charakterystyczna uliczka

Nadworny malarz czterech królów

Mimo wspaniale brzmiącego, iście hiszpańskiego nazwiska, był Francisco Jose de Goya y Lucientes synem poczciwej chłopskiej rodziny, która ciężko pracowała na kawałek chleba.

Urodzony 30 marca 1746 we wiosce Fuentetodos koło Saragossy, okazywał



Franc. Goya: Portret własny.

od wczesnej młodości niezwykłe zdolności i zamiłowanie do malarstwa. Toteż już jako 13-letni chłopak przenosi się do Saragossy, gdzie pobiera naukę u znanego malarza J. Luzan'a.

Ale młody Francisco posiada ognisty, południowy temperament; musi się „wyszumieć". Zdrowy, silny, odważny aż do zuchwalstwa, prowadzi w Saragossie bujne życie, stając się bohaterem licznych skandalików, awantur i bijatyk. Kiedy mu ziemia zanadto zaczyna parzyć stopy, — ucieka w r. 1765 do Madrytu, gdzie zdobywa sobie wkrótce opinję niebezpiecznego donżuana. Aż pewnego wieczora znajdują go leżącego w ustronnej uliczce, bezprzytomnego, ze sztyletem utkwionym w plecach... Silna, chłopska natura zwyciężyła: Goya wkrótce odzyskał zdrowie, ale miał już dość Madrytu.

Zapomocą sprytnego podstępu dostaje się w roku 1769 do Rzymu, gdzie przebywa parę lat. Z tego okresu krążą niezliczone legendy o jego awanturach miłosnych i warjackich pomysłach. Tak np. miał pewnego razu wydrapać się na kopułę bazyliki św. Piotra, by tam wyryć ku wiecznej pamięci swe nazwisko.

Jesienią r. 1771 jest już spowrotem w Saragossie — i tam rozpoczyna swą pracę twórczą, malując freski w kościele Senora del Pilar, co przyniosło mu zaczątki sławy i ładny zarobek w kwocie 15 tysięcy reali.

Od tej daty następuje przełom w duszy artysty, która zabiera się z całym zapałem i gorliwością do pracy.

O dalszej jego, wspaniałej karjerze decydują lata następne, kiedy w roku 1776, po osiedleniu się w Madrycie, wygotowuje projekty do gobelinów dla pałacyku królewskiego w El Padro, zamieszkiwanego przez ówczesnego księcia Asturji, a późniejszego króla, Karola IV.

Rysunki te, jakkolwiek nie należą do najdoskonalszych dzieł mistrza, przyjęte zostały z prawdziwym entuzjazmem; obok bowiem doskonałej kompozycji miały one tę wielką zaletę, że przedstawiały one szereg scen z codziennego życia ludu, — różniąc się tem korzystnie od uprawianych dotychczas niemal „klasycznych" tematów z mitologji i bezduszych figur alegorycznych.

Równocześnie rzuca się Goya niemal gorączkowo do pracy, tworząc długi szereg obrazów rodzajowych, portretów, obrazów religijnych.

* * *

W roku 1779 uzyskuje Goya pierwsze posłuchanie u króla. Podanie jego o nadanie mu tytułu „malarza nadwornego" załatwione zostaje odmownie. Pewną pociechę jednak znajduje we fakcie, że madrycka Akademja sztuk pięknych mianuje go w r. 1780 swym członkiem.

Goya nie ustaje w pracy. On, syn prostego chłopa, jest przez parę miesięcy mile widzianym gościem w pałacu infanta Don Luisa, gdzie portretuje rodzinę infanta i szereg osób z najwyższej arystokracji.

Wreszcie w roku 1786 maluje portret Karola III i otrzymuje tytuł „malarza królewskiego", do czego przywiązaną była wcale ładna pensja roczna.

Toteż w chwili zgonu Karola III, w roku 1788, Goya jest już człowiekiem zamożnym. Z wrodzonym, chłopskim zmysłem oszczędności ciuła pieniądze i lokuje je w dobrych papierach procentowych.

* * *

Rządy Karola IV zapisały się czarnemi zgłoskami w historji Hiszpanji. Sam król, człowiek o słabej woli, był tylko manekinem w ręku swego otoczenia, przedewszystkiem zaś swej małżonki Marji Luizy, która zdobyła sobie zgoła niezaszczytne miano „hiszpańskiej Messaliny". Zupełne rozluźnienie obyczajów na dworze królewskim pociągnęło za sobą upadek moralności w całym kraju.

Jak ustosunkował się do tego Goya? Maluje portrety rodziny królewskiej; kilkakrotnie zwłaszcza portretuje królową, oddając w obrazach tych z całym brutalnym realizmem wszystkie ujemne cechy jej charakteru i usposobienia. Jest dalej w łaskach. W r. 1789 mianowany zostaje malarzem nadwornym, z pensją 50 tysięcy reali rocznie.

Ale Goya bystrym okiem widzi, co się dzieje na dworze i w całym kraju. Widzi i odczuwa to tem silniej, że w tym czasie pojawiają się pierwsze groźne zapowiedzi jego nieuleczalnej choroby: głuchoty, która stopniowo rozwija się coraz silniej.

Straciwszy możność bezpośredniego porozumienia się z ludźmi zapomocą żywego słowa — staje się pomału zgorzkniałym samotnikiem, patrzącym na świat krytycznie. W tym czasie też powstają jego słynne „Caprichos" (Kaprysy), w ogólnej liczbie 80 rysunków, będące ostrą, bezlitosną satyrą na wszystkie wady, ułomności i występki współczesnego społeczeństwa. W miedziorytach tych — Goya pierwszy w Hiszpanji — posługuje się techniką akwatinty.

* * *

Kiedy po krwawej rewolucji w Aranjuez w r. 1808 i po abdykacji Karola IV na tron hiszpański wstąpił Ferdynand VII, Goya w charakterze malarza nadwornego portretuje dwukrotnie nowego władcę: raz na koniu, drugi raz stojąco w obozie.

Wkrótce jednak rozgorzały w Hiszpanji krwawe walki z francuskiemi wojskami Murata. Ferdynand VII abdykuje pod przymusem, a 20 lipca wjeżdża do Madrytu nowy król Hiszpanji, Józef Bonaparte.

I tutaj zachodzi fakt, nad którego wyjaśnieniem łamią sobie napróżno głowę historycy: Goya, wierny sługa Bourbonów, gorący i szczery patrjota, Goya, który sceny krwawych walk ulicznych z Francuzami dnia 2 maja uwiecznił w dwóch wspaniałych obrazach — nieoczekiwanie zjawia się wśród dworaków, łaszących się do nowego, obcego władcy!

Co więcej, pozostaje nadal nadwornym malarzem i kilkakrotnie portretuje znienawidzonego przez naród Józefa. Portrety te jednak wszystkie zaginęły w ciągu lat następnych.

W głębi duszy pozostaje jednak Goya wierny swym dawnym ideałom i przekonaniom. A kiedy wybucha owa straszna, bezlitosna wojna gerylasowa, tworzy Goya w ciągu lat 1808—1814 swój cykl wstrząsających 85 rysunków, znanych pod ogólną nazwą „Desastres de la guerra".

Po ostatecznem uspokojeniu w kraju przenosi się Goya do swej willi pod Madrytem, której ściany zaludnia postaciami niesamowitych demonów, czarownic i potworów. Żyje w zupełnej samotności, nie przestając malować. Z tego okresu czasu datuje się cykl jego rysunków „Suenos" (Sny) oraz „Tauromaquia", gdzie daje szereg epizodów z walki byków, której był od najwcześniejszej młodości zapalonym miłośnikiem.

Żyje w dostatku, pobiera swą pensję jako malarz nadworny — obecnie znów króla Ferdynanda VII... Ale samotność mu dokucza. Jako 78-letni starzec wybiera się samotnie w podróż przez Pireneje i osiada w Bordeaux, gdzie znajduje liczną kolonję hiszpańskich emigrantów.

Głuchy już zupełnie, mimo bardzo osłabionego wzroku, nie może rozstać się z pendzlem i paletą. Tworzy tam jeszcze kilkanaście dzieł, wśród których wyróżniają się zwłaszcza doskonale portrety, pełne światła i barwy.

Dotknięty nagłym atakiem sercowym umiera 16 kwietnia 1828 w Bordeaux, na obcej ziemi, — skąd dopiero w maju 1900 zwłoki jego przewiezione zostały do Madrytu.

Nadworny malarz czterech królów, był Goya za życia nawet w swej ojczyźnie mało znany. Większość bowiem jego obrazów zdobiła pałace królewskie i książęce, niedostępne zwykłym śmiertelnikom. Do tego burzliwe czasy rewolucji i wojen napoleońskich sprawiły, że o twórczości tego wielkiego artysty mało kto słyszał poza granicami Hiszpanji.

A był przecież Goya jednym z najbardziej utalentowanych i oryginalnych malarzy hiszpańskich, malarzem niesłychanie płodnym, o olbrzymiej skali zainteresowań.

Dorobek jego artystyczny wyraża się cyfrą ponad 1400 dzieł, w czem około 250 litografij, około 500 rysunków sepią, kredą, tuszem, cały szereg obrazów olejnych i fresków.

Najpopularniejsze są jego groteski satyryczne, dramatyczne epizody wojenne, oraz fantastyczne „Caprichos".

W historji malarstwa hiszpańskiego zajmuje Goya jedno z najpierwszych miejsc, nietylko dzięki swemu wielkiemu talentowi, lecz również i z tego względu, że w obrazach jego odzwierciedla się całe życie współczesnej Hiszpanji.

(K. r.



Fr. Goya: Z cyklu „Sny".



Z cyklu „Los Desastres de la guerra"

Proroctwa statystyczne

Dwaj francuscy uczeni, prof. Richet i prof. Numile, wystąpili w ostatnich czasach z niewesołą prognozą dla Europy i dla świata wogóle, opierając się na danych demograficznych.

Prof. Richet interesuje się przedewszystkiem porównawczym przyrostem ludności w poszczególnych częściach świata. W ciągu najbliższych lat dziesięciu przybędzie wedle niego 20 miljonów europejczyków i dwa razy tyle mieszkańców Ameryki, natomiast 120 miljonów azjatów, którzy naturalnie dzięki temu liczebnemu rozmnożeniu staną się groźni dla Europy.

Prof. Numile oblicza natomiast, że ludność świata pomnaża się w ciągu stulecia o pół miljarda głów. Tymczasem zapas wody, niezbędnej do użyźniania ziemi uprawnej, a więc do wyżywienia ludzkości staje się coraz bardziej niewystarczającą. Nie zdajemy sobie dziś z tego sprawy i pozwalamy rzekom rozlewać się i tworzyć bagna lub wysychać i nie myślimy o tem, że już nasze wnuki staną oko w oko z ciężkim problemem braku wody.

—o—

Zamek w Łańcucie

Jest faktem nader pocieszającym, że wśród powodzi błogosławieństw współczesnego ducha czasu, dławiącego między innemi wszystko to, co nazywa się nauką, literaturą i sztuką, — pojawiają się mimo wszystko wysiłki, zmierzające do wydobycia na światło dzienne drzemiących w ukryciu duchowych wartości naszego kraju. Dzieje się to zwłaszcza w zaniedbanej dotychczas najbardziej dziedzinie nauki o sztuce. Pojawiają się tedy coraz częściej wartościowe monografje wybitnych artystów dłuta, pendzla czy architektury, pisane przez fachowców starszej, a zwłaszcza młodszej generacji, — studja rzucające coraz więcej istotnego światła na skarbiec duchowej kultury bogatego pod tym względem narodu.

Książka dr. Józefa Piotrowskiego, długoletniego konserwatora lwowskiego, zajmuje się po raz pierwszy fachowo architekturą, zbiorami i otoczeniem*) zamku w Łańcucie. Jako owoc długoletnich, przykrych, i żmudnych studjów i archiwalnych dociekań, posiada ona cenne zalety ze względu na opublikowanie wcale interesującego zabytku w jego historycznym rozwoju i różnych wewnętrznych, urządzeniowych metamorfozach. Odznacza się jednak to dziełko — powiedzmy lepiej odrazu — pewnemi, obciążającemi je wadami. Mimo, że jest ono tylko streszczeniem przygotowanej pono do druku, obszernej monografji, nie uwalnia jednak autora od krótkiej chociażby analizy, materjału porównawczego, analizy, której rezultaty pozostają zawsze koroną badań historyka sztuki. Druga wada jest już naprawdę przykra. Autor wykraczając poza swoją dziedzinę, zapełnia spory szmat książki zupełnie zbytecznemi i bezkrytycznemi hymnami pochwalnemi na cześć genealogji rodów arystokratycznych, przez których ręce przechodził zamek. Wymienia tu różne koligacje, zamiłowania, wykształcenia, osobiste uroki i zalety serca, umysłu i ciała poszczególnych osobistości w które chyba sam nie wierzy, a które zabagniły częściowo nietylko kompozycję, interesującej zresztą książki, lecz stały się prawdopodobnie także przyczyną odarcia jej ze ściślejszych wartości naukowych.

Począwszy od hipotezy założenia drewnianego zamku łańcuckiego przez Kazimierza Wielkiego ok. r. 1360, kreśli dr. Piotrowski jego dzieje i zmiany wśród historycznych wypadków i walk wewnętrznych prowadzonych przez szlacheckich hożków ówczesnej teraźniejszości. Wypadki te nie zdołały jednak zbytnio naruszyć budowli, pozwalając jej ustawicznie rozszerzać się, oraz dostosowywać do bojowych, czy pokojowych okoliczności. Z posiadania przez Pileckich, a później Stadnickich, przechodzi następnie zamek w ręce Lubomirskich, za których następuje budowa nowego zamku i warowni na rzucie poziomym w kształcie pięcioramiennej gwiazdy, tzw. „Petit Royal" wzniesiona na system nowowłosko-holenderski. Po okresie pierwszego rozbioru Polski twierdza łańcucka traci pierwotny sens swego istnienia i zostaje przebudowana gruntownie na wspaniałą, magnacką rezydencję pokojową. Zwłaszcza ostatnia właścicielka z tego rodu, tzw. „Księżna Marszałkowa", Elżbieta z Czartoryskich Lubomirska przyczyniła się głównie do gwałtownego rozwoju świetności budowli, ozdabiając ją licznemi dziełami sztuki.

W roku 1817 przechodzi zamek łańcucki na własność rodziny Potockich, którzy zaokrąglili jego zbiory, nie dające dziś oczywiście należytego obrazu pierwotnej wspaniałej całości, rozdzielone po wielu innych galerjach, zamkach i pałacach.

W ostatniej części swej pracy opisuje autor zamek dzisiejszy, jego otoczenie i stylistyczne znamiona, oraz wymienia dziś jeszcze liczne zbiory. Można oglądać tam np. stylowe meble 18-go i 19-go wieku, sztychy polskie, angielskie i francuskie, — liczne dzieła malarzy polskich, jak J. Lampi, Orłowski, J. Brodowski, W. K. Stattler, J. Kossak, Leopold Horowitz itd. — kopie i oryginały włoskich, francuskich i flamandzkich i holenderskich mistrzów, pośród których nie brak także szeregu należących u nas do rzadkości zagranicznych arcydzieł. Obok prac Angeliki Kaufmann i Vigée Lebrun, spotykamy tam dzieła Karola Blaasa, Winterhaltera i Ary Scheffera, — obok mistrzów jak Dawid Teniers, Gerard Dou, Mieris, Bronver, Wouwermann, Ostade itd., miniatury różnych epok i krajów, rzeźby Canovy, malowidła Poussin'a Bouchera, a zwłaszcza wielkiego Fragonarda.

Wkońcu porównuje dr. Piotrowski swoistość zamku łańcuckiego ze świetnością paryskiego Luwru, b. zamku królewskiego w Wersalu i królewskiemi zabytkami angielskiemi.

Sumienna i przepojona trudem pracy książka dr. Piotrowskiego, posiada przedewszystkiem i głównie wartościowe cechy interesującego katalogu tego prywatnego, dużego zbioru muzealnego, który oby wreszcie stał się mniej niedostępny dla miłośników sztuki i jej badaczy. Należy wreszcie podkreślić liczny zbiór ilustracyj (107) celniejszych dzieł sztuki i architektonicznych fragmentów omawianego zabytku, z których klisze wykonane przez autora pracy, doskonałego fotografa, nie doczekały się niestety odpowiedniej książkowej realizacji.

Dr. M. T. M.

*) Dr. Józef Piotrowski: Zamek w Łańcucie. Zwięzły opis dziejów i zbiorów. 107 ilustracyj. Lwów 1933.

Podanie, poezja i rzeczywistość

Swego czasu przy nauce niemieckiego w szkołach byłego austrjackiego zaboru uczyliśmy się na pamięć Uhlanda **Das Glück von Edenhall** (Szczęście zamku Eden). Treść jest następująca:

Młody pan zamku, rozochociwszy się przy uczcie, woła: „Przynieść tu Szczęście Edenhall!" Stary podczaszy niechętnie spełnia rozkaz i podaje lordowi kryształowy puhar. Kazawszy go napełnić czerwonem winem portugalskiem, lekkomyślny lord podnosi go w górę. Opowiada gościom, że jeden z jego przodków otrzymał puhar przy źródle od wieszczki, która napisała na krysztale: „Jeżeli ta szklanka stłucze się, koniec ze szczęściem Edenhall". Lord widocznie nie wierzy w podanie, zresztą chce wyzwać przeznaczenie do walki. Tłucze kielich — i w tej chwili pęka sklepienie, naokoło bucha ogień. Do zamku wdarł się nieprzyjaciel. Młody lord ginie, a stary podczaszy błądzi na drugi dzień wśród gruzów, rozmyślając nad znikomością rzeczy ziemskich. Cały świat kiedyś roztrzaska się tak, jak szczęście Edenhall...

Balladę można nazwać arcydziełem Uhlanda. Jej forma jest nadzwyczaj trudna — każda zwrotka kończy się wyrazami „Das Glück von Edenhall", rymującemi się z jej dwoma wierszami. Warto również zwrócić uwagę na wspaniałą alliterację jednego z wierszy strofy ostatniej:

Die Steinwand, spricht er, springt, zu Stück.

Wiersz tłumaczono na szereg języków, w świecie anglosaskim znany jest powszechnie wolny przekład amerykańskieg romantyka Longfellowa, który dodał notę, że sławny puhar pdobno niecałkiem jest zbity. Gdy w jakiś czas później bawił w Anglji, baronet z Eden Hall napisał do niego, zapraszając, aby przyjechał i na własne oczy zobaczył legendarny kielich. Poeta skorzystał z propozycji. Pokazano mu „szczęście Eden Hall" w zupełnie dobrym stanie. Longfellow spróbował kryształu potężnym prztyczkiem i rzekł swym amerykańskim akcentem: „Tak, widzę, że dźwięk jest zupełnie czysty".

Eden Hall leży w pobliżu Penrith w hrabstwie Cumberland, a więc nad granicą szkocką. Zamek przez całe wieki należy do rodziny Musgrave'ów. Pierwotną ich siedzibą był zamek Hartley, lecz mieszkali zawsze w tych stronach, w Cumberland lub w Westmoreland. Brali żywy udział w bojach na pograniczu i stąd Scott wprowadził jednego z Musgrave'ów w poemacie „Dziewica z jeziora".

Gdy Jakób I. (z początkiem XVII w.) stworzył tytuł baroneta, nadał go natychmiast jednemu z Musgrave'ów. Zasługiwali na to niewątpliwie — nazwisko ich figuruje już za pierwszych królów normandzkch w wykazach rycerstwa feudalnego.

Szczęście Eden Hall jest to piękny puhar, wysokości około 6 cali, średnicy ok. 2 cali u podstawy, a ok. 4 cali u góry. Na bursztynowem tle ma piękne arabeski ze złota i emalji w kolorach czerwonym, niebieskim, zielonym i białym. Przechowują kielich w futerale z czasów Henryka VI. (w. XV), również bardzo ozdobnym.

Autentyczna forma podania niezupełnie zgadza się z balladą. Niegdyś, w zamierzchłych czasach, piwniczy z zamku Eden miał wybrać się do studni św. Cuthberta, położonej na prawo od gmachu i zakrytej murem. Natrafił tam na elfy, które tańczyły dookoła swej królowej, szczególnie pięknej i majestatycznej. Na widok śmiertelnika rozpierzchły się trwożnie, a piwniczy skorzystał z popłochu i chwycił pozostawiony przez nie kielich, który mu się bardzo spodobał. Elfy zażądały zwrotu, lecz on upadł się i zatrzymał zdobycz. Wówczas królowa, odchodząc, wypowiedziała rymowany dwuwiersz tej treści, że jeżeli kielich stłucze się lub upadnie, szczęście Eden Hall przeminie („Żegnaj o szczęście Edenhall") — tu zachodzi prawie dosłowna zgodność z balladą). Zbicie puharu i tragiczne następstwa należą do poetyckiej wyobraźni. Panowie zamku umieli pilnować czarodziejskiego naczynia, a jeżeli pokazywali je gościom, to z odpowiedniemi ostrożnościami.

Z początkiem XVIII w. bywał w zamku osławiony książę Wharton, przez jakiś czas namiestnik Irlandji, znany z rozpustnego życia. Pewnego razu zainicjował on przy uczcie zawody pijackie. Gdy już wszystkim dobrze kurzyło się z czupryn, książę poprosił o szczęście Eden Hall, mówiąc, że pragnie wypić z niego na pomyślność baroneta i jego rodu. Spełniono życzenie, lecz magnatowi zatrzęsła się ręka — i kielich byłby upadł na ziemię, gdyby nie czujny piwniczy, który go w porę pochwycił. Ks. Wharton upamiętnił wypadek żartobliwą balladą „Na godne pamięci zawody pijackie, odbyte u Sir Krzysztofa Musgrave'a". Zaraz w pierwszych wierszach prosi Boga, aby szczęście Eden Hall po wiek wieków chronił od stłuczenia. Od tego czasu kielicha nie dawano już gościom do ręki.

Jego nadnaturalne pochodzenie stanowi piękną legendę. Nauka rozwiewa ją naturalnie, stwierdzając, że szczęście Eden Hall jest typowym wyrobem wschodnim z XIII w., a więc najwidoczniej przywędrowało w tym czasie z wracającymi z Ziemi św. krzyżowcami.

Rzeczywistość nie liczy się z podaniami. W najbliższym czasie ma stać się coś, co zaprzeczy tajemnemu związkowi między kielichem a istnieniem zamku Eden. Jak wiadomo, utrzymanie w dobrym stanie wielkich starożytnych budowli przerasta dziś siły angielskich właścicieli ziemskich, których niszczą podatki, szczególnie spadkowy, oparty na zasadzie progresji i pochłaniający czasem blisko połowę własności. Panowie zamku usiłowali nań znaleźć kupca. Nie udało się. Wobec tego Eden Hall ma w najbliższym czasie ulec rozbiórce.

A może stary kielich temu w ostatniej chwili jakimś cudem zdoła zapobiec?

Władysław Tarnawski.

Alfred Wielki, Sir Karol Oman i telefon

Postać Alfreda Wielkiego, bohaterskiego króla Wessexu, który na czas dłuższy powstrzymał zwycięski zalew duńskich najeźdźców, oplotły liczne podania. Najsławniejsze z nich może przedstawia Alfreda, pobitego i ukrywającego się po chatach wieśniaczych, jak obiecawszy prostej kobiecie, że będzie pilnował piekących się placków, zamyślił się nad losami kraju i sposobami zebrania nowych sił przeciw Duńczykom i zapomniał o Bożym świecie. Wskutek tego placki spaliły się na węgiel, a rozgniewana gospodyni rzuciła jeden z nich na głowę roztargnionemu gościowi. Alfred przyjął ten nowy dopust Boży z chrześcijańską pokorą i mścił się tylko na Duńczykach, ale nie na starej jejdzy. Jeżeli epizod ten zaszedł, co dość wątpliwe, musiało to być kiedyś w początkach jego panowania, w ósmym dziesiątku dziewiątego wieku naszej ery.

Sir Charles Oman, oksfordzki profesor historji i członek parlamentu, jest dzisiaj siedemdziesięciopięcioletnim staruszkiem. Parlament odwiedza tylko przy ważnych głosowaniach, pozatem prowadzi życie hygieniczne i bardzo regularne.

Pewnego razu właśnie zasnął, gdy rozległ się raz, drugi, trzeci dzwonek telefonu. Sędziwy uczony zbudził się i stoczył z sobą walkę — wstać czy nie wstać. Wreszcie otulił się w szlafrok i wdział pantofle. Telefon wciąż dzwonił. „Widocznie coś ważnego" pomyślał sobie Sir Karol, podchodząc do aparatu. I sprawa była ważna: Jacyś dwaj panowie, siedząc przy kieliszku, założyli się o datę historji króla Alfreda i placków, postanawiając sprawę oddać pod sąd największej powagi historycznej.

Nazwisko Sir Karola Omana zniknęło po tym wypadku z księgi abonentów telefonu.

—o—

Najstarsze świętości Lwowa

Pierwsza połowa wieku XIII-go w Polsce odznaczała się bogobojnością nadzwyczajną, która okazuje wymownie, jak życie całego narodu naszego podniesione było rzeczywiście do wyżyn świętości, aby wiara Chrystusowa stała się koniecznie podwaliną i państwa i każdego domu rodzinnego.

Oto święta Kinga (Kunegunda), córka króla węgierskiego Beli IV (czyli Białego) i Marji cesarzowej greckiej, była żoną Bolesława Wstydliwego. Wedle zwyczaju wówczas panującego, kiedy tylko Kingę ochrzczono, dano jej zaraz do spożycia Ciało Chrystusa przenajświętsze. A zatem była zawczasu wzmocniona światłością nadprzyrodzoną.

Ta święta Kinga była przeto bratową Salomei, która nie święta tylko błogosławiona wprawdzie była jednak wzorem nieprześcignionym życia bogobojnego. Była żoną Kolomana (Kołomień) węgierskiego, brata króla Beli IV-go, a siostra Kolomana, Elżbieta, zaliczoną została jeszcze za życia ojca w poczet Świętych.

W czasach tych błog. Agnieszka, córka króla Ottokara I-go, sprowadziła do Pragi zakon Klarysek. Błogosławiona Helena była małżonką Bolesława Pobożnego, księcia kaliskiego. A Henryk II. Pobożny, który zginął jak męczennik pod Lignicą w 1241 r., był synem św. Jadwigi śląskiej.

To tylko cząstka tych nadzwyczajności, które znamionują przeważnie nasz **wiek Świętych** czyli XIII. Dodać do nich trzebaby postać Kadłubka, Iwona Odrowąża, świętego Jacka i błog. Czesława, błogosławioną Bronisławę, świątobliwą Grzymisławę (Grzmisławę) i wielu, wielu innych, a pojmiemy, jak Polska Piastowska umiała wcielać w życie dążenia ku doskonałości wedle nauk Zbawiciela.

Z tego wieńca wielkiego zajmują nas w tej chwili dwie osoby: Ś-ty Jacek i błogosławiona Salomea, albowiem pierwszy, jak stwierdzają poważne zapiski, bezwątpienia był założycielem i kościoła i klasztoru dominikańskiego we Lwowie w r. 1234, a druga królową Halicza (Gawlicza) i chwałą Sarmacii (wedle napisu na ołtarzu: **„Galatum Regina Salome — Gloria Sarmatici...“**). Ś-ty Jacek razem ze św. Czesławem założył w Krakowie klasztor i kościół w r. 1223. W Kipowie miał być św. Jacek jeszcze w r. 1222, z czego wynika pewność, iż po drodze niezawodnie musiał być wcześniej we Lwowie. Kościółek nasz św. Jana chrzciciela, pod Górą Zamkową, jest pamiątką bardzo wielką, choć dziś powysuwano wszystko, aby umniejszyć wartość jego do nicości.

Pomocną św. Jackowi była błog. **Konstancja,** siostra rodzona św. Kingi. Ona to właściwie staraniami swemi urzeczywistniała natchnienia św. Jacka. Błog. Konstancja zżyła się z tą częścią kraju naszego, bo w r. 1214 odbyła się w **Haliczu** uroczystość wielka zaślubin jej z Kolomanem węgierskim w obecności W. Kadłubka i Iwona Odrowąża, a zarazem koronacja. Jeżeli po dziełach się czyta, że księżna ta polska i królowa **„Galatiae“** czyli Halicza, zbudowała klasztor i kościół Dominikanów we Lwowie, w r. 1234 i tu nawet dla siebie urządziła pustelnię pod górą (pod Łysogórą), w takim razie możemy teraz uwierzyć, jaka to świętość związana jest z miejscem kościółka Ś-go Jana Chrzciciela.

Są tacy, którzy krzyczą, jakoby to było niemożliwe z przyczyny tej, że Lwowa wtedy jeszcze nie było. Otóż właśnie rok 1234 z kościółkiem Ś-go Jana związany, jest dowodem najsilniejszym dla obalenia bajki, jakoby Lwów powstał nagle dopiero w drugiej połowie wieku XIII. Kronikarz Dion Zubrzycki stanowczo stwierdza, że Lwów nazwę swoją otrzymał od góry **Lwiej** i był miastem z czasów przeddziejowych. Lwów jako **Czerwień** był grodem najsławniejszym na drodze handlowej, idącej z Europy do Azji. Po napadzie **tatarskim w r. 1241 padł w ruinę i wtedy książęta ruscy odbudowali go na tem samem, starem miejscu.** Jak w Haliczu cała uroczystość z obrzędem koronacyjnym odbyła się mimo wszystko w duchu rzymsko - katolickim, tak i tutaj we Lwowie czyli **Czerwieniu** gorliwość św. Jacka i błog. Konstancji zdobyła się wspólnie na światynię rzymsko - katolicką. Dwa zamki musiały istnieć już w wieku XIII, bo król Daniel w r. 1261 zobowiązał się poburzyć warownie z rozkazu Tatarów. Kościół św. Jana Chrz. musiał być kaplicą zamkową albowiem troszczyła się o nią przez całe życie swoje księżna błog. Konstancja, która na zamku mieszkała, która w tej kaplicy ślub brała z księciem ruskim Lwem i która kazała sobie nawet w podziemiach tutaj grób przygotować. Ta więc siostra rodzona św. Kingi, w r. 1250 oddająca rękę swoją władcy panującemu w ziemi czerwieńskiej, stała się dla grodu i dla okolicy aniołem dobroci. Po śmierci jej grób zasłynął cudami, zwłaszcza dlatego, że równocześnie w kościółku św. Jana Chrzciciela umieszczono obraz starożytny Matki Boskiej, przywieziony z Kijowa.



Kościółek św. Jana Chrzciciela wedle fotografji z połowy XIX. w.

I cóż to za obraz?...

Nie inny, jak tylko właśnie ten, który niebawem dostał się do Częstochowy na Jasnogórę. Lwowiak każdy wiedzieć to powinien, że ze Lwowa pochodzi Matka Boska Częstochowska. Przed tym obrazem modlił się św. Jacek i klękała błog. Konstancja. Książę Lew Daniłowicz po sprowadzeniu tej wielkiej pamiątki z Kijowa, pozwolił na umieszczenie jej w kościółku św. Jana.

Wszystko to dziać się musiało w **Czerwieniu,** to jest w tym grodzie **Lwowie,** o którym Nestor wspomina pod rokiem 981: „Władzomirz poszedł na Lachy i zabrał im grody ich, Przemyśl, Czerwień i inne“. Więc nie było tu pustki, ale były grody Czerwieńskie, a między niemi Lwów jako Czerwień był największy. To też do czasu owego odnosić się może wzmianka Długosza, która brzmi: „Lwów, trzecia stolica polska, którą za Władysława III, króla polskiego z Halicza do tego miasta przeniesiono.“ (Dzieje Polski: I., str. 42).

Przeniesienie to nastąpić musiało chyba za Władysława Laskonogiego, którego istotnie zwano trzecim, a który panował od r. 1203 do r. 1205. Nie mógł przecie Długosz myśleć, jakoby to był Władysław Warneńczyk, będący po prawdzie VI od Władysława Hermana. Byłoby to wszystko na czasy Warneńczyka zapóźno. **A przecie Długosz wyraźnie wspomina, iż Kazimierz Wielki zaraz po zajęciu grodu powprowadzał tu na wzór polski, wojewodów, kasztelanów, sędziów i starostów.** Jest to więc pradopodobne, że Lwów jako Czerwień był naprawdę stolicą na początku wieku XIII. Całkiem słusznie Celarjusz na str. 517 w sławnem dziele swojem z r. 1659 wspomina o Lwowie odnowionym w czasach książąt ruskich.

A zatem mury kościółka św. Jana we Lwowie, choć przerabiane wielokrotnie, mimo to wiążą się z grodem polskim, który istniał już z początku wieku XIII jako stolica ziemi czerwieńskiej. Pamięć zabytku tego jest tem droższa, iż tutaj we wnętrzu był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym korzyła się w prochu błog. Konstancja. Na obrazie przedstawiona jest ona w stroju zakonnym i w koronie, która nas upewnia, że choć była ona królową Halicza — („Regina Galatie“ Królowa Galacji), a siostra jej rodzona św. Kinga królową Polski, mimo to w pokorze zadowalała się skromnym ubiorem, biorąc sposobem narodowym pod koronę zasłonę **białą,** znaną u ludu polskiego pod nazwą **namiotki,** która była **rąbkiem** i Matki Boskiej. Mieszczka lwowska więcej się złociła niż ta pani z tronu, jakkolwiek wogóle po obrazach wschodnich sztuka przedstawiała Bogarodzicę właśnie w tym rąbku piastowskim ludu polskiego.

Rafael, malując Madonny swoje, oddawał namiotki nasze polskie, lwowskie, jako rąbki dobrze nam z kolend naszych znane.

Nazwa zresztą niemiecka dobrze mówi, że **Lemberg** pochodzi od gór **lwich,** należących do wiary **Światowida,** której szczątek ostatni, bardzo ważny, przechował się w nazwie pola **Światowidowego,** jakie czytać możemy na mapie starożytnej. Góry Lwie, jako **montes Leoninae** omawia dokładnie dr. Izydor Szaraniewicz. Jedna była zamkowa (zamek Wysoki), druga piaskowa. Łysogóra jako Jasnogóra Białoboga była nad kościółkiem św. Jana Chrzciciela a Skała Czartowska należała do Czarnoboga. To wszystko pozostałości po czasach staro - pogańskich.

Kościółek św. Jana Chrzciciela razem z grobem księżnej **Konstancji,** są to dwie najstarsze świętości lwowskie, godne czci i poszanowania, choć mocno poniszczone.

PROF. DR. ZUBRZYCKI

Historje kalendarzowe

Od pewnego czasu kwestja „reformy“ kalendarza staje się znów przedmiotem dyskusji. Wysunęły ją przedewszystkiem Sowiety, w konsekwencji systematycznie prowadzonej kampanji antyreligijnej.

Z drugiej zaś strony pojawił się w Stanach Zjednoczonych A. P. projekt wprowadzenia nowej rachuby czasu, biorący za podstawę rok złożony z trzynastu miesięcy, po 28 dni każdy. Jakkolwiek niektóre wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe w Ameryce wprowadziły już nawet ten nowy system w swych księgach, wypłatach tygodniowych, zamknięciach rachunków, to jednak wydaje się rzeczą wykluczona, by system ten znalazł szersze zastosowanie lub zdołał wyprzeć obowiązującą dotychczas rachubę czasu, opartą na kalendarzu gregorjańskim. — Nie trzeba chyba zresztą nadmieniać, że sfery kościelne są zdecydowanie przeciwne wszelkim próbom zmiany istniejącego i uświęconego od wieków porządku rzeczy.

* * *

Kiedy i w jaki sposób powstał kalendarz, obowiązujący w całym chrześcijańskim świecie?

Jak wiadomo, pierwszym twórcą kalendarza w Europie był Juljusz Cezar. Kościół chrześcijański przejął tę rachubę czasu, rozpoczynając ją od daty narodzenia Chrystusa.

Ale już w roku 325, na soborze w Nikei, zauważono w kalendarzu tym pewne niezgodności: wiosenne zrównanie dnia z nocą przypadało nie na 21. lecz na 24 marca. Trzeba było dłuższego czasu, zanim odkryto źródło tego błędu, którego jednak nie sprostowano.

Upłynęło zgórą tysiąc lat, — aż dopiero z końcem XV wieku papież Sykstus IV postanowił sprostować te niedokładności. Pracę nad uzgodnieniem kalendarza z faktycznym kalendarzem astronomicznym podjął uczony astronom Regiomontanus, który jednak zmarł nagle, niedokończywszy swej pracy. I znowu sprawa cała poszła w zapomnienie.

Podjął ją nanowo papież Grzegoż XIII, powołując specjalną komisję uczonych astronomów. Komisja ta pracowała przez długi czas, zasięgając niejednokrotnie opinji rozmaitych uniwersytetów. Nierozstrzygniętą została kwestja, czy rok 2000 uważać należy za rok przestępny, czy nie... w rezultacie jednak komisja przyjęła plan, opracowany przez włoskiego uczonego, Luigi Lilio, a utrzymywany w najściślejszej tajemnicy. Szło bowiem o to, aby przed ostatecznem ogłoszeniem reformy kalendarza uzyskać aprobatę wszystkich europejskich dworów.

Aż wreszcie dnia 24 lutego 1582 r. papież Grzegorz XIII ogłosił bullę, nakazująca przeprowadzenie zmiany rachuby czasu w ten sposób, iż po dniu 4 października nastąpić ma w kalendarzu bezpośrednio dzień 15 października tegoż roku. Tak zatem, — przez **wyrzucenie dziesięciu dni, — nastąpiło** ostateczne uzgodnienie roku kalendarzowego z rokiem astronomicznym.

* * *

Bulla papieska odniosła narazie skutek tylko częściowy: kalendarz nowy „gregorjański“, przyjęły odrazu Włochy, Hiszpanja i Portugalja, a z końcem roku 1582 poszły za ich śladem Francja, Lotaryngja i katolickie prowincie Niderlandów. W rok później przyjmuje nowy kalendarz katolicka Szwajcarja, a w kilka lat potem Polska i Węgry.

Trudniej przedstawiała się ta sprawa w Niemczech: państwa katolickie podporządkowały się odrazu nakazowi Stolicy św., — natomiast Niemcy protestanckie dopiero w sto lat później powzięły uchwałe co do przeprowadzenia tej „poprawki“ kalendarzowej. — Skutkiem tego w roku 1700 protestanckie Niemcy po dniu 18 lutego przeskoczyły w rachubie czasu odrazu na dzień 1 marca.,

Za przykładem Niemiec poszła Danja oraz protestanci w Holandji i w Szwajcarji.

Najpóźniej przyjęły kalendarz gregorjański Anglja (r. 1752) i Szwecja (1753).

Natomiast wschód Europy, w szczególności narody prawosławne i wyznawcy religji grecko-katolickiej pozostały dotychczas wierne kalendarzowi „juljańskiemu“.

(R.)

Parazytyzm w przyrodzie

Objawy parazytyzmu (pasorzytnictwa) zachodzące w przyrodzie przedstawiają tak wielką rozmaitość form i zjawisk, że możnaby dziś stworzyć osobny rozdział biologji traktujący o pasorzytnictwie. To też w niniejszym artykule podam tylko kilka przykładów parazytyzmu, oraz przedstawię ogólnikowo, w jaki sposób parazytyzm powstał i jakie w odniesieniu do tematu wytworzyły się teorje.

Pasorzytem nazywamy takie zwierzę, które żyje kosztem innych istot, żywiąc się ich ciałem, krwią i t.d. Są to więc organizmy, które wyzyskują swego żywiciela wzamian nic mu nie dając. Tak ogólnie możnaby określić parazytyzm.

Jednak w rzeczywistości parazytyzm jest bogaty w różność form, bo począwszy od najskrajniej określonego pasorzytnictwa, w którym pasorzyt wykorzystuje swego żywiciela do tego stopnia, że w końcu przyprawia go o śmierć, przychodzimy do wypadku, w którym pasorzyt szkodzi tylko swemu żywicielowi, wywołując w nim różne zaburzenia natury fizjologicznej, takie jednak, które nie są śmiertelne. Dalej idąc stopniowo znachodzimy przykłady w których pasorzyt swą obecnością w innym organizmie nie wyrządza żadnych szkód; wreszcie w innych wypadkach pasorzyt wyzyskując inną istotę odpłaca się jej jakąś przysługą w mniejszym stopniu, bądź to równorzędną; W obu ostatnich przykładach przechodzi parazytyzm w mutualizm (symbiozę) — (patrz artykuł w dodatku literacko-naukowym, nr. 15 p. t. Symbioza w przyrodzie).

To stopniowanie w różności i sile parazytyzmu wynika prawdopodobnie z tego faktu, że pasorzytnictwo, jak wiele innych zjawisk w przyrodzie przechodziło ewolucję. Oczywiście ewolucja ta nie była ciągła, były pewne mutacje, tj; odskoki, w których pewne organizmy wykształciły się czy to na wybitnie pasorzytnicze czy znowu na żyjące w symbiozie, niemniej jednak tak musiało być, a nie inaczej, o czem zresztą częściowo świadczy, choćby fakt poznania parazytyzmu już w starożytności, podczas gdy symbioza poznana zosała w nowszych czasach. Ciekawe są pewne teorje, powstałe w związku z pasorzytnictwem, które dziś zostały zupełnie obalone, a które dają świadectwo światu starożytnemu, świadectwo zresztą nie bardzo pochlebne.

W starożytności dużo zaprzątano sobie głowy kwestją powstania życia na ziemi. Kwestję tę rozwiązano też na drodze najmniejszego oporu, przyjmując między całym szeregiem fantastycznych hipotez teorję pasorzytnictwa. Teorja ta powstała dzięki pasorzytom, dawała bowiem takie, zdawaćby się mogło, niezbite dowody, na które nie było odpowiedzi, jak np. powstawanie robaków na zepsutem mięsie, mnożenie się wszy w brudzie i t. p.

Oczywiście w dzisiejszych czasach zjawiska powstawania robaków na zepsutem mięsie i t. p. zostały dokładnie zbadane, i dziś wiemy doskonale, że zwierzęta te powstają z jajeczek. Obok teoryj samorództwa, powstała w XVIII w. teorja tak zwanego dziedziczenia pasorzytów, która przyjmowała, że pasorzyt rozwijając się w organizmie, produkuje setki tysięcy jajeczek, które przedostają się do krwi i są przez krew roznoszone po całem ciele, a więc i do płodu, rozwijającego się w danym organizmie.

Inni posunęli tę teorję jeszcze dalej, powiadając, że jajeczka pasorzytów roznoszone są przy pomocy plemników. Naiwny ten pogląd wskazywałby na to, że dziecko chore na robaki odziedziczyło je od rodziców. Teorja ta nie utrzymała się zbyt długo, ponieważ została wyparta przez inną, również pozbawioną logiki, orzekającą, że pasorzyty lęgną się z chorych części organizmu, które to części zmienione patologicznie przemieniają się w pasorzyty.

Te trzy do gruntu błędne teorje świadczą dobitnie o tem, w jakich ciemnościach pogrążona była nauka przyrody w wiekach średnich. Dopiero badania Leuckarta, Siebolda i in. położyły ostatecznie kres tym błędnym teorjom i wykazały, że pasorzyty dostają się do ciała swoich żywicieli z zewnątrz już to w formie gotowych organizmów, bądź to jajeczek; Czyli, że następuje poprostu infekcja pasorzytami w różny sposób np. przez wypitą wodę, spożyty pokarm zawierający pasorzyty lub ich jajka, czy wreszcie w inny sposób.

Dla nas ciekawem jest pytanie jak powstał parazytyzm? Z punktu widzenia biologicznego powstanie parasytyzmu można przedstawić następująco: Zwierzęta stojące na niskim poziomie rozwoju, żywiące się zwierzętami słabszemi od nich, mogą się znaleźć w takich warunkach, w których zabraknie tych zwierząt, któremi się one żywią. Powstają wtedy dwie możliwości albo zwierzęta te zginą z braku pokarmu albo przystosują się do nowych warunków życiowych. Oczywiście z biegiem czasu zwierzęta te ulegną widocznej zmianie w swojej organizacji, zmianie częściowej, a nawet i całkowitej.

I tu mamy wytłómaczenie parazytyzmu. Te nisko zorganizowane zwierzęta, którym zabrakło pokarmu dostarczonego przez inne ustroje, musiały celem zachowania swego życia, żywić się mięsem zwierząt większych, stojących na wyższym stopniu rozwoju.

Ponieważ nie mogą ich uśmiercać, żywią się tylko cząstkami ich ciała, krwią, a po zaspokojeniu głodu opuszczają je. W ten sposób powstał parazytyzm tzw. czasowy. Jest to więc przejście z życia rozbójniczego do pasorzytnictwa połowiczego, wyjaśnionego przez zasadę przystosowania się do zmienionych warunków bytu.

Stąd już niedaleka droga do pasorzytnictwa stałego. Dzięki zasadzie doboru naturalnego, który dąży do utrwalenia cech dla organizmu najlepszych i najkorzystniejszych, wytworzył się parazytyzm stały. Organizm pasorzytniczy, przechodzący z pasorzytnictwa czasowego na stałe, usadawiał się na ciele zwierzęcia, z którego czerpał pokarm. Tu jednak nie było zbyt bezpiecznie i właśnie dzięki zasadzie doboru naturalnego pasorzyt zewnętrzny obrał sobie kryjówkę bardziej pewną jak jama ustna, nosowa, jama skrzelowa, przewód pokarmowy itp.

Tak więc powstał prawdziwy parasytyzm.

Dociekania te przedstawione zresztą bardzo ogólnikowo, znajdują potwierdzenie przez porównywanie różnych organizmów dziś żyjących, wykazujących wyżej wymienione stany.

W systematyce znachodzimy cały szereg zwierząt, które znajdują się w różnych stadjach parazytyzmu, np. pijawki (parasytyzm czasowy), pajęczaki z grupy roztoczy (parasytyzm stały zewnętrzny) itd. aż do zupełnie wydoskonalonych form pasorzytniczych (tasiemiec);

Wspomnieć wreszcie trzeba o zmianach jakie zachodzą w organizmach, doskonale już przystosowanych do życia pasorzytniczego. Zmiany te są regresywne, powodujące uproszczenie organizmu pasorzyta. I tak pasorzyt przebywający np. w jelitach jakiegoś zwierzęcia, nie potrzebuje narządów ruchu, następuje więc zanik kończyn, układ nerwowy zostaje uproszczony, następuje zanik narządów zmysłowych jak wzroku, słuchu, przewód pokarmowy ulega przeobrażeniu, a nawet zupełnie zanika, ponieważ pasorzyt pobiera pokarm całą powierzchnią ciała.

Prócz tych procesów wstecznych, powstałych w związku z życiem pasorzyta, powstają pewne specjalne narządy, jak przyssawki, haczyki, służące do przytwierdzania się pasorzyta do ciała żywiciela, oraz rozwija się nadzwyczajnie zdolność płodzenia. Niektóre pasorzyty produkują miljony jaj w ciągu swego żywota, — są takie, które potracić wszystkie narządy z wyjątkiem narządów płciowych. Są wreszcie takie, np. u pewnych robaków, gdzie w ciele samicy w narządach płciowych żyją samce.

Nadzwyczajna ta płodność pasorzytów wytłómaczona jest obfitością pokarmu oraz prawem zachowania gatunku. Do najbardziej znanych pasorzytów należą zwierzęta z typu robaków (vermes), jak np. z gromady obleńców (Nemanthelmintes), Trychina spiralis, Ascaris lumbricoides, Ascalis megalocephala dalej z płazińców (Plathelmintes) Taenia solium, tasiemiec bezbronny, tasiemiec kręćka.

Wiele pasorzytów znajdujemy w typie członkonogich (Arthropoda) z gromady pajęczaków np. roztocze (sarcoptes scabiei) itd.

Pozostałoby jeszcze przedstawić biologję i morfologję zwierzęcia pasorzytniczego, jednak z powodu szczupłych ram artykułu o życiu pasorzytów innym razem.

TADEUSZ KWAŚNIEWSKI

Ciekawostki ze świata

Czy Ojciec Święty próżnuje?

Znużony pracami Roku Świętego Pius XI. spędzi dla odpoczynku pewien czas w willi Castelgandolfo pośród gór Albańskich. Czasopismo **Vita e Pensiero** oblicza, iż blisko 79-letni Ojciec św. przyjął w ciągu Roku Świętego z górą półtora miljona pielgrzymów, wygłosił do nich 620 przemówień, nadto 14 kazań i 9 mów na konsystorzach. W najbardziej ożywionym okresie wypadało po 8 przemówień do pielgrzymek na dzień, pozatem zaś co najmniej po 10 specjalnych audjencyj dla biskupów, nuncjuszów i dyplomatów. Nic dziwnego, że Głowa Kościoła zapragnęła wypoczynku. Ale do Castelgandolfo udaje się z dworem i będzie tam załatwiać sprawy bieżące.

Sławna kolekcja pierścieni

P. Teresa Mayer, obywatelka austrjacka, obecnie nieżyjąca, zbierała przez całe życie pierścienie różnych okresów historycznych. Kolekcja liczy ok. 750 sztuk, reprezentujących średniowiecze odrodzenie wiek 18-ty i 19-ty. Spadkobiercy postanowili ją spieniężyć i zwrócili się w tym celu do jubilerskiej firmy Teodora Fischera w Lucernie. Tym sposobem największy prywatny zbiór pierścieni na świecie będzie z początkiem maja wystawiony na sprzedaż w Zurychu.

Katedra skazana na zagładę

Wspaniała stara katedra, zbudowana z początkiem w. 18-tego w Villahermora, stolicy meksykańskiego stanu Tabasco, ma być rozebrana, aby zrobić miejsce olbrzymiemu parkowi, poświęconemu wszelkim sportom. Rzecz jest w związku ze zwalczaniem Kościoła w Meksyku, gdyż ustawa, uchwalona przez stan Tabasco, ograniczyła ilość kościołów do minimum i tym sposobem część ich musi być zburzona.

Wzrost Belgradu

Stolica Jugosławji była do niedawna stosunkowo niewielkiem miastem. Obecnie połączono ją mostem na Sawie z Zemuniem i mostem na Dunaju z Pańczewem, wcielając do niej te miejscowości. Od 1 kwietnia należy nadto do Belgradu 13 wsi okolicznych. Tym sposobem obszar miasta wzrósł pięciokrotnie. Tworzy on olbrzymie koło, którego średnica wynosi niewiele mniej od 50 km. Podobno żadna ze stolic europejskich nie zajmuje takiej powierzchni. Ludność dochodzi jednak tylko do 300 tysięcy, a więc pod tym względem Lwów i Kraków mają wyższość.

Świat podziemny Marsylji

Sprawa zamordowania sędziego Prince'a rzuciła pewne światło na bandytów marsylskich, z których trzech uwięziono, jako podejrzanych o tę zbrodnię. Ważne miasto portowe południowej Francji roi się od wyrzutków społeczeństwa, zdolnych do wszystkiego. Zastanawiają ich stosunki. Gdy aresztowano ową trójkę, posypały się, jak z rogu obfitości, oświadczenia, stwierdzające ich alibi lub nieposzlakowany charakter, a sam mer Marsylji kazał rozlepić plakat, w którym ujmuje się za jednym z opryszków, oświadczając, że dopóty będzie uważał go za swego przyjaciela, dopóki wina nie zostanie ponad wszelką wątpliwość udowodniona.

Ostatni z „tysiąca" Garibaldiego

Zapewne ostatnim, a w każdym razie jednym z ostatnich garibaldczyków jest hr. Caserta liczący obecnie lat 93 i ciężko chory. Od bohaterskich czynów słynnego tysiąca upłynęło lat 73. Hr. Caserta był przyrodnim bratem ostatniego króla Obojga Sycylji i mimo to wziął czynny udział w ruchu, który zbudował nową Italję na gruzach drobnych tyranów i ujarzmionych przez obcych prowincyj. Między tyranami najbardziej pogardy godnym był właśnie władca Neapolu i Sycylji. Państewko to słynęło z ucisku i policyjnych metod. O poprzednim królu powiedział Gladstone w roku 1851, że jego rządy są „negacją Boga, spotęgowaną systemem". W owym czasie liczba więźniów politycznych w królestwie Obojga Sycylji wynosiła około 40 tysięcy...

Indyjski uniwersytet

32 lat minęło od założenia hinduskiego uniwersytetu w Gurnbula. Leży on u stóp gór Karia, poza którami otwiera się widok na niebotyczne, wiecznym śniegiem pokryte szczyty Himalajów.

Nazwa uniwersytetu jest w tym wypadku rodzajem **pars pro toto** gdyż pobyt w zakładzie wychowawczym w Gurukula trwa lat 14. Chłopcy wstępują tam między 6-tym a 8-ym rokiem życia i pozostają bez przerwy aż do ukończenia studjów. Stają się na ten czas członkami rodziny nauczyciela, który uroczycie przyjmuje za nich odpowiedzialność.

Tryb życia jest spartański. Wszyscy uczniowie z wyjątkiem najmłodszych wstają o 4-ej rano i przez 1 1/2 godziny uprawiają gimnastykę, poczem kąpią się w czystych, lodowatych wodach Gangesu. Następuje dłuższe nabożeństwo, polegające na powtarzaniu wierszy sanskryckich, a dalej na rodzaju ofiary, przy której rozgrzewają się nieco, gdyż siedzą naokoło bronzowego naczynia, napełnionego płonącem, topionem masłem i drobnemi kawałkami wonnego drzewa, rzucając w płomienie cukier, zioła i korzenie.

Dopiero po tem wszystkiem jedzą studenci skromny posiłek. Do obfitszego siadają po dwóch godzinach nauki, a wtedy zaczynają się właściwe wykłady, trwające aż do nocy.

J. S.

Pięćdziesiąta fala...

Jeszcze jeden jubileusz... Ale bez fraków, uroczystych przemówień, adresów, akademij. Jubileusz, jedyny w swoim rodzaju, interesujący nie szczupłą garstką znajomych, przyjaciół i wielbicieli „dostojnego jubilata“ — lecz setki tysięcy, miljony!

A „dostojny jubilat“, to nie siwowłosy, starszy, poważny jegomość, odbierający z odpowiednią powagą i namaszczeniem życzenia... Nie, — to abstrakcja, nieuchwytna, niewidzialna, a jakże nam wszystkim bliska i miła!

Pięćdziesiąta audycja „Wesołej lwowskiej fali“!...

* * *

„Radjo, ten „teatr wyobraźni“, pracuje w warunkach bez porównania trudniejszych, niż teatr czy kino. Tam działanie bezpośrednie na słuchacza i widza, połączenie elementów wizualnych i akustycznych w jedną harmonijną całość. Radjo natomiast działać może na wyobraźnię słuchacza jedynie pośrednio: odpada ruch, światło, mimika, dekoracje, — pozostaje tylko słowo, słowo przenoszone na falach eteru.

A samo techniczne przygotowanie produkcji? Trzeba całych miesięcy wytężonej pracy zespołu, reżyserów, inscenizatorów, techników, — zanim jakiś film wytwórnia wypuści na ekran. Trzeba szeregu prób, długich, cierpliwych, — nim jakaś sztuka teatralna ujrzy światło kinkietów. I taka sztuka czy taki film, starannie przygotowane „idą“ całemi tygodniami, dzień po dniu, znajdując zawsze chętnych słuchaczy i widzów.

Z radjem rzecz się ma inaczej. Radjo, to teatr ciągłych premjer, to teren nieustannej, rzec można, improwizacji. Nie co tydzie, nie codzień, — ale co godzinę, co kwadrans, trzeba dawać coś nowego, ciągle coś nowego. Trzeba ogarniać wszystkie dziedziny życia kulturalnego, uwzględniać wszystkie możliwe zainteresowania.

* * *

O ileż trudniej jeszcze przedstawia się ta sprawa, o ile idzie o „Wesołą falę“! Regularnie co tydzień świeża, obfita dawka humoru i wesołości. Skąd ją czerpać w dzisiejszych, — jakże niewesołych! — czasach? Gdzie znaleść takich urodzonych, nałogowych wesołków, którzy potrafią, niemal z punktualnością zegarka, dostarczyć co tydzień nowy, oryginalny materjał do tych audycyj? Kiedy wreszcie — wśród całodziennej gorączkowej pracy — znaleść czas na przeprowadzenie choć kilku niezbędnych prób, zmontowanie całej — godzinnej! — audycji, przygotowanie potrzebnych efektów dźwiękowych, ilustracji muzycznej itp.?

Trzeba to wszystko sobie uprzytomnić, by móc w całej pełni ocenić ogrom wysiłku i pracy, jaką wykonują organizatorzy i wykonawcy „Wesołej fali“.

Więc jeżeli tu i ówdzie znajdzie się niekiedy jakiś numer słabszy, — pamiętajmy, że nawet i na słońcu znajdą się plamy, że i w teatrze czy w kinie nie wszystkie przedstawienia stoją na jednako wysokim poziomie.

* * *

Z okazji osobliwego „jubileuszu“ należałoby — zgodnie z tradycją — zacytować szereg dat i cyfr. Co, kto, kiedy... jak przedstawia się geneza, historja... jakiemi plonami poszczycić się może jubilatka...

Ale historja „wesołej lwowskiej fali“ zbyt dobrze jest znaną jej słuchaczom, by trzeba ją powtarzać.

Zajrzyjmy raczej na chwilkę za kulisy, do tej tajemniczej kuchni nowoczesnych alchemików, z której tryskają iskry, rakiety i bomby humoru na całą Polskę.

Uwija się tam niezmordowany, zasapany, zaaferowany sam „wielki mag“, Wiktor Budzyński, ojciec duchowy i najczulszy opiekun tego swojego tworu. Sekundują mu dzielnie Włada Majewska, niezrównana parodystka Ordonki, Marleny itp., „Kucharka radjowa“ Herta Warren, „dziecko radjowe „Stefa Zielińska, „egzotyczna cudzoziemka“ Love Short, specjalistka od lekkich piosenek Ewa Stojowska...

Nieoceniony duet Szczepko i Tońko (Kazimierz Wajda i Henryk Vogelfänger) wiedzie żywą dysputę z kapitalnym „Aprikosenkranzem“ (Monderer), i „Untenbaumem“ (Fleischer). A prawdziwy fenomen radja lwowskiego, niezrównany imitator głosów wszystkich zwierząt, Józef Wieszczek, czeka cierpliwie swej kolejki.

A któryż z radjosłuchaczy nie zna Tadeusza Seredyńskiego, tego, co to stale „przy fortepianie“? Ile ten człowiek wkłada pracy w zmontowanie całej strony muzycznej „Wesołej fali“, — o tem mogą powiedzieć tylko ci, co w audycjach tych sami biorą udział.

Wreszcie parę słów o „dostawcach“. Zaczynając od Szczepka i Tońka, którzy sami się „aprowizują“, wymienić tu należy przedewszystkiem Juljusza Toto, Adolfa Fleischera, Edw. Jaśkowskiego i Emanuela Schlechtera. To są te „filary“, koło których grupuje się cała plejada pisarzy lwowskich i warszawskich, zasilających stale repertuar perełkami humoru i dowcipu.

Że zaś całość funguje sprawnie, a audycje stoją na coraz wyższym poziomie, — niemała w tem zasługa dyrektora lwowskiego Oddziału P. Radja, p. Petry'ego, który nie szczędzi pracy, starań i zabiegów dla tego pupilka nietylko Lwowa ale i całej Polski.

Dla ścisłości dodać należy, że stały zespół wykonawców audycji „Wesołej fali“ liczy 18 osób, — do czego dochodzi dalsze 35 osób, występujących dorywczo, w miarę potrzeby.

Pozatem biorą w tych audycjach udział rozmaite zespoły muzyczno - wokalne, jak Chór Esbena, orkiestra mandolinistów pod dyrekcją A. Eplera, orkiestry wojskowe i inne.

Na jeden jeszcze moment zwrócić należy uwagę. „Wesoła fala“ ma zasadniczo na celu dać słuchaczom lekką, miłą i wesołą rozrywkę. I tu jednak przeprowadza pewne zróżniczkowanie, nie bez ukrytej pewnej myśli.

Wyłącznie takiej rozrywce poświęcone są audycje obejmujące albo ogólny program rewjowy, albo lekkie komedje muzyczne, cieszące się dużem powodzeniem.

Inny natomiast typ przedstawiają nadawane co pewien czas okolicznościowe rewje, poświęcone w całości pewnym specjalnym tematom, zagadnieniom czy aktualnym problemom. Pod ten typ podpadają audycje, poświęcone kwestji kolonij polskich, żołnierzom K. O. P., Sienkiewiczowi itp. Audycje te, utrzymane w tonie pogodnym i lekkim, świadczą o dobrze przemyślanem, rozsądnem i planowem kierownictwie „Wesołej fali“, która w ten sposób służy z pożytkiem i wyższym, ogólniejszym celom.

Niechajże tedy lwowska jubilatka, tak dziś ulubiona i popularna w całej Polsce, a nawet daleko poza jej granicami, spoglądając z zadowoleniem na dotychczasowe wyniki, — widzi w tem asumpt do dalszej, równie owocnej pracy, w myśl starego hasła „utile dulci“!

(Lucy)



Wesoła próba „Wesołej fali“.

O karykatury

Czeskie twoarzystwo „Manes“ urządziło w jednym ze sklepów z dziełami sztuki w centrum Pragi wystawę karykatur. Wskutek tego figurowali w oknach szkaradnie wyrysowani wszyscy członkowie gabinetu niemieckiego z Hitlerem na czele. Zwrócono na to uwagę w Berlinie i poseł niemiecki w Pradze zwrócił się do rządu z protestem przeciw tej rzekomej nieprzyzwoitości, wyrażając obawę, iż może ona zamącić stosunki sąsiedzkie między obu państwami (dodajmy od siebie: i tak nieświetne). Skutkiem było usunięcie z okien najzłośliwszych karykatur.

Niemieckie gazety wyrażają niezadowolenie, że można je nadal oglądać we wnętrzu sklepu, zestawiając fakty z krokami jakie rządy szwajcarski i belgijski poczyniły przeciw propagandzie antyhitlerowskiej. Natomiast prasa czeska sądzi, że nie było się o co obrażać, gdyż wystawa bynajmniej nie była wymierzona przeciw Niemcom, czego dowód stanowią karykatury Masaryka, Benesza, Stalina i wielu innych sławnych osobistości.

ZAMEK W ŁAŃCUCIE
(do artykułu na str. IV)

Skrzydło północne zamku.

Główna sień wjazdowa.





ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie



Z lewej kostjum z crêpe imprimé, przyczem spódniczka jest w ciemniejszym odcieniu.
Z prawrj suknia z crêpe de Chine, a szerokim marszczonym kołnierzem i takąż samą baskiną.

— Wiosenna moda paryska stoi pod znakiem barwnych materjałów „imprime" we wszelkie możliwe wzory, kółka, kropki, kwiątki itp.

— Matrjały jedwabne, prążkowane djagonalnie, nadają się specjalnie dla kobiet niskiego wzrostu. Przy odpowiednim kroju wydłużają całą sylwetkę i nadają jej smuklejszy wygląd.

— Coraz częściej pojawiają się na kapeluszach letnich kwiaty: niewielkie bukieciki, dostosowane zasadniczo w kolorze do barwy sukni czy kostjumu.

— Wycięcie przy letnich sukienkach jest z przodu kwadratowe, na plecach trójkątne.

— Pończochy nie powinny być nigdy ciemniejsze od koloru sukni. Do sukien zupełnie jasnych — pończochy cieliste, nigdy białe.

— Rękawiczki powinny harmonizować w kolorze albo z suknią, albo z kapeluszem i torebką. Bardzo ładnie wyglądają rękawiczki z tego samego materjału co suknia, nawet gdyby to był materjał w desenie.

— Najskromniejszą, zeszłoroczną nawet sukienkę ożywia i przystraja szalik lub krawatka ze szkockiego jedwabiu.

— W kapeluszach zupełna dowolność: nosi się każdy fason, o ile jest „do twarzy". Najpopularniejsze dalej są zwyczajne ,znane nam dobrze „canotier"y. Oryginalnie wyglądają wprowadzone świeżo przez dużą firmę paryską modele kapeluszy o bokach podniesionych do góry i skręconych w ten sposób, iż przypominają skrzydła jaskółki.

— Okrągła linja staje się symbolem mody, w przeciwstawieniu do jesiennej i zimowej, którą charakteryzował prostokąt. Kanciasta, wojskowa linja ramion staje się znów okrągła i kobieca.

Zarys ramion podkreśla raglanowy lub kimonowy fason rękawa. Bardzo modne będą pelerynki we wszystkich odmianach i długościach. Peleryna stanowi nieraz przejście od sukni do kostjumu. W tym sezonie będzie dużo kompletów, składających się z sukienki i peleryny.

— Tegoroczny kostjum spacerowy, skromny i elegancki zarazem, wspaniale podkreślony zostanie przez pasiasty materjał, który wydłuży i wysmukli każdą sylwetkę. Bardzo dużo będzie kombinacyj tego rodzaju. Bluzka w kratę, a kostjum w pasy lub odwrotnie.

Do kraciastego kostjumu bluzka w pasy, przyczem pasy też kombinuje się w różne strony, szczególnie nadawać się będzie do tego kostjum sportowy.

— Obserwuje się znów całkowity powrót do kapeluszy, które się nosi głęboko na czoło, z lekkiem nachyleniem ku jednemu bokowi, obok kapeluszy-berecików. Do kostjumów ładne są — marynarskie o podniesionych bokach.

— Pierwsze wiosenne kapelusze z czarnej słomki, zdobione są obecnie wstążką o jasnym kolorze tła, znaczoną w pręgi mocniejsze.

Taki sam motyw dekoruje torebkę. Jak widzimy, pomysły proste w wykonaniu i niekosztujące wiele.

Pozatem pocieszającą dla wszystkich będzie wiadomość o obowiązującej w tym roku zasadzie jedynie słusznej i wartej, aby ją wyznawać: wszystkie kapelusze są modne z jednym tylko warunkiem, aby były włożone ze smakiem, oraz ażeby ich właścicielkom było w nich naprawdę do twarzy. A więc berety, czapeczki, toczki, zawoje, na czoło, od czoła, na ucho, ze słomki, z jedwabiu, aksamitu, filcu.

Wenus 1934 roku

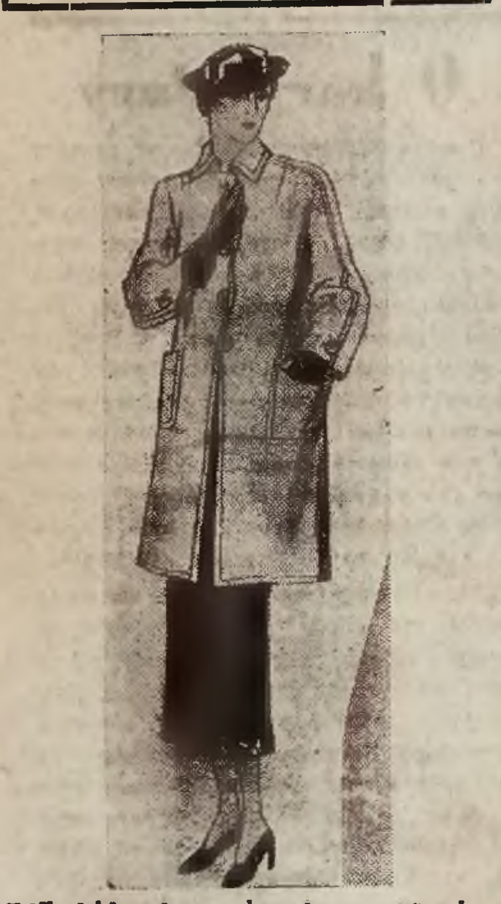
Ideał piękności kobiecej zmienia się ciągle. Na piękną Venus Praxilesa każdy zawołałby: „Ach, jaka gruba!" — kobieta Leonarda da Vinci czy Rubensa wydałaby się nam niezgrabną, a piękność przedwojenna wzbudziłaby uśmiech ironiczny.

Ponieważ gust ludzki ulega zmianom, rokrocznie zbierają się artyści, malarze i rzeźbiarze, aby ustalić, jakie rozmiary powinna mieć kobieta o idealnej piękności.

W czasach równouprawnienia kobiet, w dobie sportu i samodzielności nie może kobieta posiadać filigranowej budowy delikatnej markizy, ani twarzy wrażliwej na słońce, wiatr i deszcz. Sport też jest przeciwnikiem tłuszczu. Dzisiejsza kobieta musi mieć ciało smukłe i sprężyste. Przy rozpatrywaniu piękna budowy ciała kobiety, „jury" bierze pod uwagę osiem proporcyj. Wymiar 1) głowy, 2) od brody do piersi, 3) od piersi do bioder, 4) od bioder do połowy korpusu; 5) od połowy korpusu do połowy uda, 6) od połowy uda do kolana, 7) od połowy kolana do łydki, 8) od łydki do stopy.

Według uchwały sędziów tegorocznego konkursu piękności „Wenus roku 1934" powinna posiadać wzrost — 1 m 65 cm., waga 57 kg., obwód szyji — 0.22,8 m, obwód ręki — 0.27.5 m, obwód piersi — 0.88 m., obwód pasa — 0.65 m., obwód bioder — 0.90 m., obwód łydki — 0.32,5 m.

A więc do dzieła piękne panie! Centymetr i waga pokażą wam, czy wasza budowa jest zbliżona do tegorocznego „ideału".



Półkrótki płaszczyk wiosenny z rękawami „kimono"

Modne materjały męskie

Obecny sezon trwa pod znakiem koloru beige i zielonego o dyskretnym odcieniu metalu.

Szary kolor materjałów, będzie używany tylko do garniturów letnich. Niebieskie materjały będą noszone rzadko. Z tkanin przerabianych modne są czarno-białe, w maleńką szachownicę, wzory przypominające kurze łapki, oraz figury geometryczne z nitkami czerwonemi, nieznacznie wyglądającemi z tła szarego. Ostatnią nowością są materjały elastyczne, niegniecące się, oraz jersey — flanela, stanowiąca ciekawe zastosowanie z trykotem.

Uczesania sportowe i wieczorowe

Minęła już moda włosów długich „anielskich"; obecnie, jak zresztą zwykle przed zbliżającym się latem, noszone będą włosy krótkie. Modne są zasadniczo dwa rodzaje uczesań: sportowe i wieczorowe; w obu wypadkach albo odsłaniamy pół, albo całe ucho. Małe, płaskie loczki na karczku dozwolone są przy uczesaniach wieczorowych. Pozatem pomiędzy temi dwoma rodzajami fryzury niema zasadniczych różnic.

Płaskie fale, prawie zupełnie ściśle przylegające do głowy, zaczesane do góry, lub rozczesane tak, aby nie opadały na skronie, są zakończone dwoma, lub trzema lokami; nad i pod uchem. Przedział dyskretny, najlepiej jednak nie robić go wcale.

Odsłonięte uszy ozdabiamy klipsem przypominającym kształtem ślimaka.

Wieczorem głowę naszą ozdabiamy, długiemi, cienkiemi pałeczkami, zatkniętemi za loczki, tworzące jakby grzebień w połowie tyłu czaszki, djadem z szyldkretu, ze strassów, lub kulami metalowemi. Sportowe uczesanie, tak zwane „fryzura-golf" uwydatnia kształt czaszki i ozdabia twarz przylegającemi trzema lokami.

Pogniecione suknie

Biorąc do użytku suknię, która długo leżała zapakowana, trzeba położyć na niej zwilżone płótno i prasować bardzo gorącem żelazkiem, nie zatrzymując żelaza długo na jednem miejscu, i nie dozwalając płótnu wyschnąć zupełnie; w takim razie nabrałyby niepotrzebnego połysku. Suknię tak odprasowaną można włożyć po upływie godziny.

—6—

Bluzki

Oprócz kasaków i bluzek z baskinami modne są teraz bardzo skromne bluzeczki, wpuszczane w spódnice o rękawach dochodzących do połowy ramienia lub do łokcia. Ładna jest np. bluzka z białej organdiny w drobne, czarne kropeczki, cała gładka, tylko z wąziutkim kołnierzykiem i dużym, narszczonym żabotem.

Plisowane mankiety, kołnierzyk i żabot ślicznie ozdobią bluzeczkę z pastelowego rypsu.

Krepa w kolorowe, tak ogromnie teraz modne prążki nadaje się więcej na bluzkę o kroju sportowym. Ozdobią ją kolorowe guziczki na przodzie i na kieszonkach. Bardzo twarzowe są bluzki dżemprowe z deseniowego crepe de Chine'u z aplikowanemi jasnemi plisami, lub z prążkowanego toile, ukośnie i poprzecznie przeciętego na części, z krawatem z tafty. Nosimy je do kostjumu.

Niezmiernie praktyczne są koszulowe bluzki z cienkiego jersey przybrane kieszonką i plisą, lub bluzki z crepelli z krawatem, ozdobione fałdami. Również stanowią część kostjumu.

Nawet na skromną wizytę możemy się ubrać w bluzeczkę z płóciennej panamy, przybraną ażurami, bluzkę z jedwabnej krepy ozdobioną plisowanemi riuszkami, ażurami, albo bluzka z toile de sole. W domu możemy nosić bluzki z kratkowanego, lub prążkowanego płótna o kroju zbliżonym do kamizelki, ozdobione guziczkami i wypustkami kolorowemi.

Malować czy tapetować?

W naszym kraju praktykuje się przeważnie zwyczaj malowania mieszkań zamiast ich tapetowania. — Z punktu widzenia interesów zdrowotnych zwyczaj ten nie jest zupełnie uzasadniony, a już ze względów estetycznych zupełnie chybiony. Przemysł obiciowy ma możność zakupywania rysunków pierwszorzędnych malarzy, to też tapety są w pomysłach oryginalne, nęcą oko ozdobnym ornamentem, czynią środowisko mieszkalne miłem i artystycznem. Robota malarzy pokojowych, poza nielicznemi wyjątkami, stoi na bardzo niskim poziomie. Zresztą dobranie odcieni i deseni, jakich sobie właściciel mieszkania życzy, jest utrudnione.. Nigdy nie można przewidzieć, jak praca malarza wypadnie. Przy tapetowaniu mamy możność idealnego przystosowania obicia do charakteru mieszkania, do mebli etc.

Wysuwa się tu też kwestja względów higjenicznych: obicie tapetowe posiada właściwości izolacyjne, chroni przed zimnem.

Przewaga tapety nad malowaniem i w tem się jeszcze mieści, że ściany malowane są zazwyczaj chropowate, co stanowi dla kurzu, jeśli tak rzec można, poważną przynętę. Ściany tapetowane mają powierzchnię gładką.

Teraz kwestja najważniejsza, bo oszczędnościowa. Co jest tańsze i oszczędniejsze.? Trzeba pamiętać, że ściany malowane łatwo się odbijają i obtłukują, a pokrywanie takich dziur farbą jest bardzo trudne, pominąwszy ten fakt, że trudno dobrać farbę tego samego koloru. To też, jeśli komu zależy na wyglądzie estetycznym, mieszkanie musi dać pomalować na nowo. — Tapety są trwalsze, nie niszczą się tak łatwo, a jeśli nawet gdzie się podniszczą, da się to z łatwością minimalnym kosztem naprawić przy pomocy zapasowych skrawków.

Wszystko zatem przemawia na korzyść tapetowania.

Poradnik dla gosposi

Móżdżek cielęcy w muszelkach

Obrać móżdżek z błonki, która go pokrywa, osobno zagotować w rondelku pół litra wody z łyżką octu i łyżeczką soli, w gotującą się wodę włożyć móżdżek, gotować 10 minut. Potem wyjąć móżdżek na deseczkę i gdy ostygnie pokrajać go na drobne kawałki. Zasmażyć łyżkę mąki z łyżką masła i wlać w to dwie łyżki śmietany i łyżkę rosołu lub wody, włożyć pokrajany móżdżek i zagotować. Na czyste muszelki lub maleńkie spodeczki nałożyć potrochu móżdżku, pokropić zarumienionem z bułeczką masłem i wstawić je na blaszce w piec ŁawibppŁnf(dy. Podawać po zupie lub na przekąskę.

Delikatne sucharki

Dziesięć żółtek wybić do miski, białka zostawić osobno, do żółtek wsypać tyle mąki, żeby się zrobiło gęste ciasto, rozbijać je łyżką i wsypywać po trochu szklankę cukru — pudru i proszek wanilji; po dobrem wyrobieniu dodać pianę z ubitych białek i upiec pod blachą do rumianego koloru, potem wyrzucić placek ten na stolnicę, pokrajać go cieniutko na plasterki i powtórnie w piec wstawić dla obsuszenia.